



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

POLITYKA
ul. Miedziana 11
00-835 WARSZAWA

Nr **9** **28-02-98** dn.

Warszawski Teatr Polski domem Fredry

Uśmiechnięta „Zemsta”

Umieć wiersz Fredry na pamięć i iść się nim cieszyć w żywym słowie, chwycić z ust dobrego aktora każdy wyraz, smakując i przeżykając jego wypowiedzenie, oto jedyny właściwy stosunek do Fredry. Dopóki tej rozkoszy nie znacie, moi czytelnicy, nie mówcie mi o swojej kulturze literackiej, jesteście dzikusy, fe!

JACEK SIERADZKI

Kto to pisał? Ani chybi jakiś przyk! W rzeczy samej: Tadeusz Boy-Żeleński, jeden z najbardziej oddanych i najzarliwszych rzeczników, jakich hrabiemu Aleksandrowi dał niewdzięczny los klasyka. Trzeźwy apologeta, zakochany w autorze – a jednak postrzegający dzieło we właściwych ramach i proporcjach, umiejący się nim po prostu spontanicznie cieszyć, bez pompy i celebry. W imię rozsądku sprzeciwiający się napuszonemu, koturnowemu interpretacjom, całej, jak ją nazywał, „polonistycie od Pana Zagłoby”, ale też oburzony do żywego wypychaniem Fredrowskich komedii

go. Wprost przeciwnie: znamionująca ducha dzisiejszych czasów ostrość i zacieklność konfliktów ma zakaz wstępu na scenę. Spektakl jest ostentacyjnie pogodny, jego humor ciepły i, powiedziałoby się, promienny. Choć nie apologetyczny. Ani reżyser, ani aktorzy nie rozczulają się nad zacierzewanymi szlachetkami, obnażają ich szacherki, świństewka i piramidalną głupotę. Ale ich lubią. Boy-Żeleński pierwszy by tu przyklasnął; zawsze twierdził, że „Zemsta” to rzecz o małych ludziach, którym królewska poezja Fredry przysądza blasku, opromienia sympatią.

Wystarczy spojrzeć na rozradowaną gębę Cześnika witającego z podróży Papkina, wycekiwanego trefnisia i kompana. Cześnik, pełen właściwej Danielowi Olbrychskiemu wewry, chce cieszyć się światem, mariażem, dokuczaniem Rejentowi, smakiem rannej polewki, zalotami. Rozpiera go życiowa energia, może najmniej przydatna, gdy trzeba działać głową. W drucianych okularkach poci się wtedy i stęka, acz i w tej operacji – choćby przy słynnym pisanu listu – niezgłusztwo Dyndalskiego prędzej go bawi, niż złości. Patrzy się z uśmiechem na jego kontuszowe pozy, słucha zamasztych wspomnień o młodości z szabelką w dłoni. Gdzieżby ten swojski rozrabiaka na serio brał się do gwintówki, żeby strzelać do sąsiada. A sąsiad? Czyż groźne trzepnięcie palcami o udo, pysznie wymyślone przez Ignacego Gogolewskiego, nie jest bardziej pozą niż groźbą?

Wszystkich: pokornego Dyndalskiego (Wiesław Michnikowski), fertyczną Podstolinę, która „rzadko kiedy myśli, ale za to chyża w dziele” (Grażyna Barszczewska), parę młodych obejmuje na scenie Polskiego aura ciepłej pobłażliwości. Łagodząca rysy postaci, acz nie zmieniająca ich w schematyczne figurki. Najmniej skutecznie ów nimb działa w przypadku Papkina; czy dlatego, że Damian Damięcki, stosując skutecznie ostre środki komiczne, skąpi swemu samochwałowi wyjść poza rolę błazna? Może nieco mniej miniasty i groteskowy Papkin byłby lepszym adre-

tem owego szerokiego uśmiechu powitalnego goszczącego na facjacie Cześnika Olbrychskiego, a mogącego służyć za znak firmowy całej inscenizacji?

W półtorasezonowej dyrekcji Andrzeja Łapickiego w Polskim „Zemsta” jest trzecią z kolei inscenizacją fredrowską. Ponad wszelką wątpliwość najbardziej udaną. Dobra okazja, by porozmawiać o zamiarze uczynienia sceny przy Karasia Domem Fredry – tak jak Comédie Française jest tradycyjnie Domem Moliere’a.

Sensowność zamysłu zda się oczywista. Miejsce na teatralnej mapie Polski, gdzie ze szczególnym pietyzmem zajmują się Fredrą, jest potrzebne, skoro wielkiego komediopisarza gra się, owszem, często, lecz zazwyczaj marnie. Bezbarwnie, na odwal się, albo z atrakcjami (ostatnio widziałem „Damy i huzary”, gdzie wojacy gotują na grzałce, a służące wnoszą pudełka z Pizzy Hut). Wymagania muszą być jednak niebiańskie: zamysłowi grozi klęska, jeśli powstawać będą spektakle choćby tylko tuzinkowe. Poprawne, nawet i bezbłędne, lecz bezduszne. Takie inscenizacje (a zdarzały się na i tej scenie przed niewielu laty) to tylko woda na młyn zwolenników zesłania Fredry do muzeum.

Łapicki chce zapraszać gwiazdy. No tak: cytowana na wstępie apostrofa Boya to wszak w pierwszym rzędzie wyzwanie dla aktorów. To oni muszą chcieć zanurzyć się z osobistą, nieskrywana przyjemnością w polszczyznę Fredry, delectować się frazą, rytmem wiersza, bogactwem słownych portretów; prywatną rozkoszą promieniować na widownię. Czy uda się uruchomić w Polskim taką arenę szlachetnej rywalizacji, gdzie najwięksi artyści polskich scen gościnnie mierzyliby się z Fredrą, ot dla własnej, niewymuszonej frajdy?

I czy starczy kibiców na widowni? Chwilę po premierze „Zemsty” sala jest szczęśliwie wypełniona dorosłymi i spektakl ma z miejsca inną temperaturę niż orka na szkolnym ugorze. Może dzięki dobrej famie warszawiancy rozumieją na powrót, że na Fredrze można się wspaniale bawić. Gdybyż do tego organizator widowni umiał wpuszczać między dorosłych młodzież. Żadne klasowe zbiorówki, gdzie smarkacze wygłupiają się przed sobą wzajem: małe grupki chętnych, oczywiście wieczorem! To edukacja teatralna równie ważna jak „teatry w martensach”, specjalnie obliczane na młodą wrażliwość.

Utopia? Cóż, przemawia przeze mnie sentyment: sam tą drogą właśnie, wśród dorosłych poznawałem się z Fredrą. Były to „Śluby panieńskie” Adama Hanuszkiewicza, jeszcze bez jego ekstrawagancji; Gucia grał dzisiejszy Cześnik. Musiało to być okrutnie dawno, choć może nie aż tak dawno, jak twierdzi Roman Pawłowski obliczając przeciętny wiek miłośników Fredry na osiemdziesiąt pięć lat. Bóg zapłać za szczodrość! Za przyjemność smakowania żywego, bogatego, ciepłego i zabawnego fredrowskiego spektaklu zgodzę się nawet na zrównanie wiekowe z Boyem-Żeleńskim. Pokiwamy sobie głowami nad zapalczywością dzikusów, którzy nie wiedzą, co tracą.



Daniel Olbrychski (Cześnik) i Damian Damięcki (Papkin)

między ramotki. Skądinąd wypychaniem znacznie mniej obcesowym w jego czasach niż obecnie. Aliści czy ów żartobliwy apel o kulturę literacką w przytoczonym cytacie generalnie nie brzmi dziś głucho i zawstydzająco?

Jak by się czuł autor „Obrachunków fredrowskich” na widowni Teatru Polskiego w Warszawie podczas „Zemsty” wyreżyserowanej przez Andrzeja Łapickiego? Cóż, jeśli umiałby przystać na to, że z upływem lat szczegół obyczajowy musi się zacierać, drobiazgi niegdyś oczywiste stają się nieczytelne, a gest, wymowa, zachowania, konwencje ulegają uproszczeniu – jeśli się na to wszystko nie zachnął, to wolno sądzić, że wieczór na Karasia mógłby mu sprawić przyjemność.

Warszawska „Zemsta” nie stawia sobie za cel rewindykacji interpretacyjnych; uwagi w przedpremierowych wywiadach, że Cześnik i Rejentów pełno we współczesnym sejmie, to tylko reklamowe liczmany, nic nowe-

JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA GAZETA